

względem militarnej pozycji wroga — wtedy, gdy Japonia chciałaby mieć obok siebie jak najmniej wojska rosyjskiego, interesem Polski jest, by siła militarna Rosji była ześrodkowana przy dalekiej od niej granicy wschodniej.

Inne sprzeczności stwarzają się przez różnice położenia politycznego Japonii i Polski. Japonia jest uznanym przez wszystkich państwem, mającym nawet potężnych sojuszników w postaci np. Anglii. Polska — przeciwnie — jest krajem podbitym, nie ma więc żadnych resursów, będących w rozporządzeniu państw, a wszelka akcja jej musi nosić z konieczności charakter tego, co prawo określa mianem zdrady stanu. Położenie to daje się łatwo wyzyskać przez Japonię, wtedy, gdy dla strony przeciwnej przedstawiać ono musi ogromne trudności. Już obecnie z tego wynika sprzeczność interesów. Japonia żądać musi jak najprędszego zakończenia wojny, wtedy, gdy Polska radaby przeciągnąć ją tak długo, by Rosja w wojnie osłabła jak najwięcej, a Polacy mieli jak najwięcej czasu na przygotowanie się do walki i wzmocnienia szeregów rewolucyjnych.

J. Piłsudski.

ZE WSPOMNIENÍ

«Kalendarz Robotniczy» na r. 1905, str. 63—66.

Byłem w świetnym humorze, kiedy w słoneczne południe kwietniowe wprowadzono mnie do biura X pawilonu cytadeli warszawskiej. Łódzkie więzienie, w którym spędziłem dwa miesiące i z którego mię przywieziono do cytadeli, dokuczyło mi śmiertelnie. Przypominało mi ono najgorsze więzienia sybirskie. Wstrętny wikt, na którym prawdopodobnie robił majątek p. zawiadowca, malutka cela bez kawałka mebla w niej, zakaz palenia tytoniu — wszystko to obrzydziło mi tę wstrętną dziurę. Byłem więc ogromnie zadowolony, że raz narreszcie przenoszą mnie do Warszawy. Lecz bodaj najpoważniejszym powodem doskonałego humoru było podniecenie, jakie odczuwałem, wstępując w mury instytucji, która tak ściśle się spłotła z męczeńskimi dziejami naszej ojczyzny.

Pałała mię wprost ciekawość. Chciałem wiedzieć, jakie też wrażenie wywrze na mnie cytadela. Byłem więc wesół i podniecony, gdym wchodził w asystencji dwóch żandarmów do biura pawilonu, a na moje przywitanie podnosił się z krze-

sła gospodarz zakładu, sztab-rotmistrz żandarmerii, p. Farmunda. Przywitaliśmy się zdaleka ukłonem i gospodarz gestem zaprosił mię zajęć krzesło naprzeciwko niego.

P. Farmunda był dobrym typem żandarma. Grzeczny i słodki w obejściu, o ciemnych oczach wyrazu łaszącego się kota. Ruchy miał — w «pendant» do figury i rysów twarzy — okrągłe, uśmiezek na ustach pod wymuskany wąsikiem przymilający się. Otworzył księgę i notował w niej moje odpowiedzi na zwykłe w tych wypadkach pytania o wieku, miejscu urodzenia itd.

Po ukończeniu tej formalności zwrócił się do mnie z uśmiechem:

— Przepraszam, jeszcze jedna mała formalność, niech się pan rozbierze, musimy na panu zrobić rewizję.

Zrzuciłem marynarkę i kamizelkę, które natychmiast schwycił stojący z boku wachmistrz.

Przyszło mi jednak na myśl, że mogę się uwolnić od przyjemności paradowania wobec żandarmów w stroju Adama.

— Ależ, panie rotmistrzu, — zawołałem, — czy nie będzie to zbyt gorliwość z pańskiej strony? Przecie od czasu aresztowania będzie to już czwarta rewizja. Raz przy aresztowaniu, drugi raz w więzieniu łódzkim, trzeci w Warszawie w zarządzie gubernialnym, czwarty raz tutaj.

— Ach! pana już rewidowali w zarządzie! — zgodził się ze mną p. rotmistrz — w takim razie to rzeczywiście zbyt częste. Niech tylko pan będzie łaskaw zdjąć krawat, bo ten zostanie u nas.

— Krawat? — pytałem zdumiony, gdyż pierwszy raz spotkałem się z ostracyzmem, stosowanym do tak niewinnej części ubrania, — a to czemu?..

— Doprawdy, nie umiem panu wytłumaczyć — odparł Farmunda, — ale u nas takie prawo: więźniowie siedzą bez krawatów.

Wprawiło to mnie w jeszcze weselszy humor. Takie to «echt russisch» w swej mądrości! Byłem w więzieniu, gdzie więźniom odbierają wszystko absolutnie i przebierają w odzież więzienną, lecz zostawić człowiekowi bieliznę, garnitur, kapełusz, palto, ba, wnosić do celi, jak to robią w cytadeli, walizki i koszyki z całym bagażem więźnia, a odebrać mu, jako rzecz najniebezpieczniejszą, — krawat, tegom się nie spodziewał, to było wspaniale i zaimponowało mi oryginalnością.

— No, trudno — rzekłem wreszcie, śmiejąc się, — choć to powiadają, że przyzwoiciej jest chodzić bez koszuli, niż bez krawata, ale skoro prawo tego wymaga — proszę.

Farmunda uśmiechnął się. Spytałem go o tytoń.

— O! to już nie zależy ode mnie, proszę pana, — mówił po polsku z nieco rosyjskim akcentem, — to rozstrzygnie oficer od badań, chociaż jestem przekonany, że pan nie spotka się z odmową w tym wypadku. Co do mnie zaś, to ja pozwalam wypisywać z miasta prawie wszystko, nawet wino i piwo, — dodał z odcieniem dumy. — Naturalnie, jestem pewny, że pan nie będzie nadużywał...

— O! bądź pan spokojny — przerwałem. — Samotność nie usposabia do picia.

— To już wszystko — rzekł Farmunda, wstając z krzesła, — jeżeli pan do mnie będzie miał jakiś interes, skargę lub pretensję, niech pan będzie łaskaw powiedzieć o tym dyżurnemu żandarmowi, natychmiast przyjdę do pana. Bagaże pańskie wniosą panu do celi.

— Numer trzydziesty dziewiąty! — rzucił rozkaz już po rosyjsku, zwracając się do wachmistrza.

Skloniłem się na pożegnanie i wyszedłem z pokoju, mając przed sobą żandarma, a za sobą żołnierza z warty, uzbrojonego w karabin z bagnetem. Uśmiechnąłem się z zadowoleniem: tak paradnej asysty nie spotkałem w żadnym więzieniu.

Sprowadzono mię na dół po tych samych schodach, przez które wszedłem do zakładu, potem weszliśmy na lewo w korytarz — było to już więzienie właściwe. Dość szeroki o nieprawidłowych konturach korytarz prowadził środkiem, na prawo zaś i na lewo szły kolejno drzwi do cel więziennych. W tym korytarzu znajdowało się pięć cel. I na te pięć cel stał przy ścianie żołnierz na warcie i, jako gospodarz korytarza, przechadzał się po nim żandarm. Skręciliśmy raz jeszcze na prawo i weszliśmy do nowego korytarza.

Ten był ciemniejszym i dłuższym, tutaj było dwanaście cel z taką samą, co w poprzednim, obsługą. Przy ostatnich drzwiach na lewo żandarm, prowadzący mnie, zatrzymał się i skinął na swego kolegę, dozorującego korytarz. Ten odsunął kolanem zasuwę i otworzył drzwi — były to drzwi do celi numer trzydziesty dziewiąty, przeznaczonej dla mnie. Wszedłem do niej, a za chwilę wniesiono również moje walizki z rozrzuconymi w nich rzeczami. Byłem więc już w cytadeli.

Rzuciłem okiem na celę. Cella była duża, ściany szare, źle pobielone, podłoga ciemno-szara, cementowa. U względnie nisko położonego okna stał stół niesłychanie brudny, tak, że pod warstwą tłuszczu i kurzu trudno było odnaleźć ślady drzewa; przed stołem — skromny wiejski drewniany stołek; przy ścianie — łóżko żelazne, którego części były wykrzywione i po-

gięte do tego stopnia, że niepodobna było dojrzeć nigdzie linii prostej; w kącie stały moje walizki. W pokoju czuć było stęchłą w połączeniu z zapachem, właściwym pokojom, dawno nieprzewietrzanym i niezamieszkanym stale. Drzwi drewniane, również brudne, na których świeciły plamy białe, powstałe po odłupaniu z nich drzazgi. Z korytarza dochodził do mnie szmer głosów i urywany śmiech — to żandarmi z dwóch sąsiednich korytarzów skracali sobie nudy dozorowania pogawędką. Od czasu do czasu rozlegały się po korytarzu kroki przechodzących żandarmów i żołnierzy.

Gdym to wszystko obejrzał i wsłuchał się w szmery i dźwięki, dolatujące z korytarza i innych cel, nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że gdzieś już widział coś podobnego.

— Nie! nie było to inne więzienie, stanowczo nie! Było to coś, związanego z Litwą, bo mi się nagle przypomniały moje włości po tym kraju.

Nie chcąc sobie psuć wrażenia, położyłem się na łóżku i zamknąłem oczy. Po chwili zrozumiałem to dziwaczne skojarzenie wrażeń. Tak, pamiętam dobrze! Kilka lat przedtem wypadło mi być w jednym z zapadłych kątów Litwy. Spotkała mię ulewa i zmokły, zziębnięty kazałem furmanowi zatrzymać się w przydrożnej karczynie, która stała nieco odosobniona od niewielkiej wioseczki wśród lasu. Karczyna była murowana i zdaleka wyglądała dosyć przyzwoicie. Lecz podjechawszy bliżej, spostrzegłem, że to tylko resztki dawnej świetności składały się na pozory przyzwoitości, w istocie zaś była to rudera. Tynk kawałami odpadł ze ścian, tworząc rumowisko na ziemi i smutne, brudne plamy w murze; w dachu świeciły się dziury, szyby w oknach, względnie dużych, składały się albo z kawałków szkła, misternie i dziwacznie sklejonych, albo też nie istniały wcale.

We drzwiach spotkałem starego Żyda, który mię wprowadził do pokoju, przeznaczonego dla «puryców». Ten właśnie pokój, w którym widocznie długo nikt nie gościł przede mną, był jak gdyby kopią mojej celi w X pawilonie. Brudny stół i podłoga, wykoszlawione łóżko, poszarpane i połupane drzwi, nawet drewniana, brudna, napełniona piaskiem spluwaczka w kącie pokoju — wszystko to, a szczególnie miły zapach zgnilizny, nasunęły mi tak żywo przed oczy karczynę litewską, widzianą kilka lat temu, że sobie przypomniał i rozmowę z gospodarzem karczyny, starym Ickiem o melancholijnym spojrzeniu zarzynanej tępym nożem kozy.

Tak! Icek miał powody być melancholijnym. Tak dobrze mu się powodziło dawniej. Karczyna stała dawniej na drodze

do Wilna. Przeciągały nią i sute pańskie kolasy, i ładne bryki szlacheckie, i ładowne wozy chłopskie. Wszystko to zatrzymywało się przy karczmie Icka, popasało tam, piło, jadło, nocowało. Sam hrabia X. — Icek wymienił mi znane nazwisko litewskiego magnata — nocował u niego, ot tutaj, w tej samej stacji. Icek miał wówczas czym przyjąć takich panów. Sprowadzał nawet z samego Wilna doskonale wino — a gite Madera od pan Zabłocki i Kalita. Dobre były czasy!

A teraz! teraz Icek bankrutuje i nie ma czym nawet poprawiać karczmy. Przeprowadzili kolej i o parę mil postawili stację, do której droga do dalszych okolic wypada nie tędy. I Icek musi bankrutować. Icek nie wie nawet, czy będzie mógł przyjąć godnie takiego panicza, co to do niego wypadkiem zajechał. Samowar jeszcze ma, już jego córka Sura go nastawia, zaraz go przyniesie, ale chleb jest tylko chłopski — razowy, może jeszcze Sura znajdzie parę jaj, ale ani mleka, ani mięsa już nie ma.

I Sura — młoda, tęga Żydówka, nie myta, nie czesana od Bóg wie kiedy, z zaspianymi oczami, w brudnej, zaszarganej spódnicy i nieszczelnie zapiętym kaftaniku — Sura wniosła przedmiot dumy bankrutującej karczmy — samowar. Styłowy samowar. Pękaty, gotujący się z niesłychanym hałasem, jękiem i świstem, nieczyszczony co najmniej od kilku lat, pokryty zielonymi plamami, zakapany stearyną, z zakatarzonym, kapiącym kranem i nierównymi nóżkami.

Zgrzyt otwieranych drzwi przerwał moje myśli. Do celi wpadł z obiadem żołnierz-posługacz. I ten był stylowym. Pociągał co chwila z przyjemnym szelestem swym długim nosem, twarz i ręce miał jakiegoś nieokreślonego, ziemistego koloru. Ubranie — mundur i spodnie — wisały nań strzepami, a buty były wykrzywione i połatanne. Postawił na stole obiad i z miną człowieka, spełniającego poważny obowiązek, wyjął z kieszeni od spodni cynową łyżkę, którą położył na stole.

Wspaniale! Miał przy tym tak dobroduszną minę, że się nie zdobył na oburzenie i w myśli nazwałem go Surą. Swoją jednak drogą siadłem do obiadu ze złością. Ta łyżka, wyciągnięta z brudnej kieszeni zanoszonych spodni, irytowała mnie.

— Masz ci bankrutującą karczmę! — mruknąłem z gniewem. Ileż to już pokoleń, siedząc w tej dziurze, marzyło o zbliżającym się jej bankructwie!
